BEZ CHATY.

NAPISAŁ

MICHAŁ BAŁUCKI.

KRAKÓW,

NAKŁADEM CZCIONKARNI Ż. J. WYWIAŁKOWSKIEGO.

1863.

KOLEGOM

AUTOR.

BEZ CHATY.

Ten, który mi *te* wielkie boleści wieszczył,
Taki koniec moich boleści mi oznajmił.

Oedip. Kolon

Nie budzę z srebrnych trumien starych kości,
Ani kamienne poruszę postacie, —
Niechaj śpią w cichych grobów majestacie —
Powaga grobów — to pieśń ich wielkości,
A kto pieśń taką powtórzyć się kusi,
Hetmańską słowa potęgę mieć musi,
By wielkie czyny, zbudzone z mogiły,
W skarlałe pieśni klątwy nie rzuciły.
A mnie zbroica ducha od łez zmiękła,
Spokoju mego świątynia rozpękła,
I spokój grobów nie na moją duszę —
Więc smutną pieśnią popiołów nie ruszę.

Lecz czyliż cała wielkość nasza w grobie?
Czyż wiecznie będziem w przeszłości ozdobie
Rozanielonéj, na praojców trumnie,
Przy pieśni szumie stać, jak na kolumnie
Upozowani i piękni w żałości,
I mówić światu: oť my kość z ich kości!?
Czyliż pokoleń nowych pierś rozdarta
Oprócz rozpaczy, tęsknot i boleści
Za starą sławą — nic więcéj nie mieści?
I boleść nasza dawnych sław niewarta?

Po przecierpianych bólach daj mi Panie
Skrzydła nadziei, bym w zmierzchle zaranie
Nie jako płaczka był pośród narodu,
Ale jak surma, co do boju woła, —
I, uciekając od trumien kościoła,
Chcę gwiazdą wisieć u przyszłości wschodu,
A choćby zblednąć, wschodu nie doczekać,
Wolę, niż siadłszy na grodach — narzekać.

Syn bólów, tych, co bez posągów jeszcze,
Syn ran niezaschłych i owéj nadziei,
Co nad łez morzem jak gołąb szeleszcze,
Śpiewa pieśń nową.
Na tęczę idei
Góralską gońkę rzucam. Lud ten lubię,
Biedny a dumny — o! ludek to złoty,
I duża przyszłość jego — więc się chlubię,
Jak szlachcic herbem, ludem takiéj cnoty.

Spienione Tatrów porozpuszczam rzeki,
Jako warkocze — jako struny lutni,
Po ziemi mojéj mogilnéj, dalekiéj,
I śpiewać będę dla was, bracia smutni!

I.

W wianku bieluchnych, rannych obłoków,
W ozdobie lasów, pachnących zieli
Wstały dziś Tatry z cieniów pościeli;
Z pieśniami wiatrów, z szumem potoków,
Pod mgły porannéj lekką zasłoną
Wstają dzień biały witać i płoną
Różowym wschodem, a nad ich czołem
Diadem z gwiazdek błyszczący kołem
Gaśnie, i blednąc, wsycha w niebiosa,
Jak brylantowa na łąkach rosa.

Pod chatą szumią Dunajca wody —
Na skały czole stoi krzyż święty
Dwoma ramiony na świat rozpięty;
Pod cieniem krzyża góral spał młody
Gońką nakryty, a ból przyschnięty
Do smutnych skroni, niby cień wtóry,
Rzucał na bladą twarz cień ponury.

Świat uśmiechnięty... dusza w rozpaczy...
I skon narodów słyszy śmiech głośny
Innych narodów... i cóż to znaczy?
Pieśń nieskończona — a Bóg litośny!

(słychać w wąwozie śpiew kośbiarzy.)

Szumi Dunaje, szumi,
Smutek nasz rozumi,
Pójdzie dolinami,
I zapłacze z nami.

Na dolinach ludno,
Góralowi nudno, —

Jemu ludzi nie trza,
Jeno wód, powietrza.

Ni nas sine skały
Nie będą widziały,
Ni nam wiatr zanuci,
Ni nas las ochłodzi.

Chato nasza chato,
W tobie nie bogato,
A nam nawet w niebie
Będzie cno bez ciebie.

We łzach dziatwa, żona,
Że nas niema doma —
Z głodu pomrą może...
Hej, hej, mocny Boże!

Maryo z Świętemi
Czuwaj tu nad niemi,

O Panie Jezusie
Nad niemi zmiłuj się!
(Kośbiarze przechodzą wąwozem — Stach się budzi.)

STACH.

Pan Bóg z wami —

GÓRALE.

Z tobą także bracie.

STACH.

A daleko Pan Bóg was prowadzi —
Na zarobek?

GÓRAL.

W zakrakowskie równie.

STACH (wstając).

W zakrakowskie? — cudnie tam być musi
W tym Krakowie nad niebieską Wisłą,
Gdzie królowie nasi i paniska
W grobach leżą. Tatuś mi powiadał:
Jak to miasto śliczne i poważne,
Jak staruszek, co na piersi nosi
I świętości, i rany, i kule,

I białego orła — na pamiątkę
Tego życia, co je dobrze przeżył.
A wysokich tam kościołów wiele —
To gdy dzwony zaczną huczeć z wieży
W jakie święto nad nabożnym ludem,
To i ziemia ona z mogiłami
I pierś człecza nabożnie drżéć musi,
I kamienne serce się rozpłacze
Z tego smutku, co tam z grobów wieje...
Radbych przecie widział miasto ono.

GÓRAL.

To weź grabki, kosę wyostrzoną,
I chodź z nami!

(Stach zamyśla się.)

INNY GÓRAL.

Niemyśl długo bracie!
Ano skrzypki widzę téż u ciebie,
To weselej będzie nam iść z tobą.

Gdy z frasunku spijem się w dolinach,
To nam zagrasz wtedy po naszemu —
Chodź, chodź z nami.

STACH.

Ale tam gór niema —
Duszno pewnie; jabym tam nie pożył.

ANTEK KULAWY (śmiejąc się).

Ej pożyjesz! i mnie się tak zdało,
Gdy mi przyszło pierwszy raz wychodzić;
Ale miałem guńkę potarganą,
Jak dziad jaki, jak ty teraz bracie,
Że się dziewki śmiały ze mnie w siole,
I nie miałem co jeść w mojéj chacie,
Taj poszedłem. Pierwszy raz najgorzéj.

STACH.

Idźcie, idźcie, ja tu zostać wolę,
Choć mi wiatry przez łachmany wieją,

Niż się włóczyć po złocistych równiach,
Gdzie się Lachy najedzone śmieją
Z nas górali chudych! oj! nie pójdę —
Choćby umrzeć — włóczyć się nie będę.

STARY GÓRAL.

Lubię ciebie synu za tę dumę,
Co ci patrzy z bolesnego czoła,
Ale nieplwaj tak na nędzę naszą,
Nie zrzekaj się niczego przed czasem,
Bo nikt nie wie jaki tam los w niebie
Zapisano synaczku dla ciebie.

STACH (przypominając sobie ranny sen — do siebie).

Zapisano go do czarnéj księgi...
Tatuś patrzał w księgę czarną, strasznie,
Żebrać, żebrać mam!

STARY GÓRAL.

Patrz, za tym lasem
Za tym sinym, widzisz tam tę skałę,

Kędy teraz się obłoki białe
Przechadzają, — tam ja był juchasem,
W gwiazdy patrzał i kąpał się w chmurze.
Ale teraz w ciemnéj méj chałupie
Żona z dziećmi drobnemi na kupie,
I mnie trzeba, by ich nie zagłodzić
Na równiny za zarobkiem chodzić.
Bądź zdrów bracie! Daj mu Panie Boże
Lepiéj od nas.

STACH.

Niech was Bóg prowadzi.

(Kośbiarze odchodzą.)

STACH.

Poszli smutni, ale przyjdzie jesień —
Wrócą do chat, niezły grosz przyniosą,
I powiastki przyniosą ciekawe
Na wieczory zimowe rodzinie.
A ja — niemam chaty, by w nią wrócić,

Gdybym ja mógł zapracować sobie
Na śmierć tego, co mnie wygnał z chaty,
I w téj chacie gdyby ja mógł siadać
Z starą matką, z ślepą siostrą gadać —
Pracowałbym choćby potem czoło,
A krwią ręce miały obiec w koło.

(Zwiesza głowę i zamyślony patrzy w rzekę.)

JONEK (w ubiorze juchasa wchodzi na skałę).

Witaj Stachu!

STACH.

Witaj!

JONEK.

Cóż tak siedzisz,
Jakbyś pstrągów w jasnéj wodzie szukał?

STACH.

Jonku, Jonku, mnie coś złego kusi...
Kiedy długo po nad wodą siedzę,
To se myślę: jak tam cicho na dnie

Tém głąbokiém, jak zieloną wodą
Człek nakryty nie usłyszy wcale
Ani siostry płacz, ni matki żale.

JONEK.

Niepleć Stachu!

STACH (nie słuchając go).

Tak ja nieraz myślę —
Ale kiedy wspomnę, że za grobem
Tatuś stoi mój i od topielca
Odwróciłby twarz i przeklął znowu,
To strach bierze mnie przed taką myślą.
Matko Boska i rozpięty Chryste
Odegnajcież te myśli nieczyste!

JONEK.

Stachu! Stachu! co ty już nie gadasz?
Gorzka dola! Ja wiem, że to smuci;
Ale smutek chaty ci nie wróci,

Ojczym pieniądz ma, przekupi sędzię,
Co on powie — to po prawdzie będzie,
A grzéch Stachu żyć tak, jak ty żyjesz,
Patrz no na mnie! ni ja ojca, matki,
Między ludźmi w poniewierce rosłem,
Chaty niemam, a niepłaczę przecie,
I wesoły hulam w Bożym świecie,
Aż mi wiatry tatrzańskie zazdroszczą,
Tak mi dobrze jakoś, tak mi miło,
Jakby mogił na świecie nie było.

STACH.

Lecz ty nie stał nad otwartym grobem
Twego ojca, ni cię ojczym twardy
Nie wyrzucił, jak psa, z własnéj chaty, —
To nie czujesz jak ciężki kamień
Taki smutek, gdy na duszę spadnie.
Bóg mnie skarał! Bo ci powiem bracie
Sekret krwawy, co mi boleść dwoi,
Żem ja sobie życzył ojca śmierci,

Żeby niemieć nad sobą nikogo,
Coby karcił moją dziką wolę.
Pan-Bóg widział grzéch i skarał srodze,
Ja-bym teraz Jonku rad tatusia
Choć szpilkami grzebał z mogilnika,
I za stołem posadził w chateńce,
I mył nogi i całował ręce!

(płacze.)

Dzisiaj znowu przyśnił mi się w trumnie:
Leżał w chacie, z któréj mnie wygnano,
Żółtą podniósł twarz i patrzał ku mnie,
I rzekł, grożąc ręką spracowaną:
— Iżeś ojcu stawiał głowę hardo —
To cię ludzie oplują pogardą,
Łez niemiałeś na moim pogrzebie,
Więc je wypłacz o żebranym chlebie!
Jonku, Jonku, ja widziałem we śnie,
Jak przekleństwo tłukło się boleśnie
O zamknięte niebiosów podwoje,
Aże chmury rozbiło na dwoje,

I upadło u Bożéj potęgi,
I wpisano je do czarnéj księgi,
Aż płakali Aniołowie nieba.
Żebrać, żebrać zdrową ręką chleba!
Oj! nie będę! choć twarz z głodu zbladnie,
Choć mi ręka uschnie i opadnie.

JONEK.

Eh! sen mara, Pan-Bóg wiara, Stachu!
Na co tobie żebrać, kiedyś młody,
Kiedy możesz zapracować sobie,
Wiesz co bracie, chodź ty ze mną w góry!
Ej! ty nie wiesz, co to jest juchasić:
Za chmurami niedopatrzysz ziemi,
A złe myśli wiatry ci rozgonią.
Chodź, chodź zemną! Patrzaj! już juchasy
Wąwozami pędzą owce w lasy,
Owce dzwonią, juchasy kukają,
Szumne lasy echami im grają,
Dunajc gwarzy, powitania gada,

Aże dusza w piersiach skacze rada,
Słyszysz, słyszysz pieśń ich w tamtym lesie?
Wiatr porywa ją i do nas niesie.

(śpiew juchasów.)

Lody rozpękły i śniegi tają,
I majem pachną polany, lasy,
Znajome wirchy na nas wołają:
Chodźcie juchasy, chodźcie juchasy!

Puste szałasy patrzą w manowce,
I białe ścieszki ku nam rzucają,
I drzwi rozwarły mówiąc: wracają
Nasze juchasy i nasze owce.

Smerkowe lasy cieszą się w koło
I mówią chmurom: będzie wesoło
Patrzeć w polany, bo ano wraca
Juchasów chmara i stary baca.

Patrzy za nami ze wsi rodzina,
Patrzy niejedna smutna dziewczyna,
Jak to źle temu Boże, mój Boże,
Co iść juchasić w góry niemoże.

Deszcze nas zmyją, wiatr będzie chłodzić,
Z chmurami będziem po turniach chodzić,
A w noc gwieździstą, cichą, po pracy,
Słuchać przy ogniu powiastek bacy.

Hej, hej, wesoło w halach i ładnie!
A wy tu patrzcie — kamień co spadnie,
Rzeka pienista, co się z gór zléwa,
Wieść o juchasach dla was zaśpiewa.

STACH.

Czemu ty się Jonku tak zasmucił?
Śpiew wesoły cień ci na twarz rzucił,
Posmutniałeś, jak gewonckie góry,
Gdy nad niemi czarne płyną chmury.

JONEK (zamyślony).

Nie — nie — tylkom wspomniał sobie trocha,
Że Haneczka moja teraz szlocha,
Byłem u niéj jakoś po niedzieli,
Stara matka była u sąsiady
Na pogwarce — ona przy kądzieli
Była w izbie sama — z twarzy bladéj
Łzy ścierała — i śpiewała sobie:
O Dunaju głębokim i grobie —
Gwarzyliśmy długo — ja niezdrowa“
Mówiła mi — „ja umrę bez ciebie“
Teraz łzy jéj wspomniałem i słowa,
I zciemniało mi słonko na niebie.

STACH.

Widzisz Jonku! ot! jedna dzieweczka
Dała tobie dobrych słów troszeczka,
I łez trocha, a już sercu ciążą,
I już myśli wolno tak nie krążą

Po niebiosach i jesteś mój drogi
Niby orzeł z kamieniem u nogi.
A ja starą matkę mam tam w chacie,
Co jak służka żyje znosząc biedy,
A i ślepą mam tam siostrę, bracie,
Co niewidzi nawet biedna, kiedy
Byle o co ojczym rozwścieklony
Za włos schwyci długi, rozpleciony,
I syczącą z bólu o ziem rzuci,
A obydwie bardzo mnie kochają,
Moje troski do swoich dodają,
I podwójnie płaczą. — Oj to smuci!.

(słychać cichnący śpiew.)

Lody rozpękły i śniegi tają,
I majem pachną polany, lasy;
Znajome wirchy na nas wołają:
Chodźcie juchasy, chodźcie juchasy.

JONEK.

Zostań Stachu! teraz inak czuję
Obcą troskę, gdy się sam frasuję —
Ja myślałem, że na sercu ranę
Jako szmatę można zszyć na nowo
Pocieszeniem i znów będzie zdrową,
Oj nie, oj nie!

STACH.

Ja tu nie zostanę.
Pójdę z wami! Mnie pracować trzeba,
Bo się boję, bym z wielkiego głodu
Tu nie musiał o kawałek chleba
Prosić kogo. —

JONEK.

Cicho! z za ogredu
Wyszła matka twoja i do góry
Tutaj idzie.

STACH.

W lesie u figury
Matki Boskiéj czekaj na mnie bracie.
Nim się gwiazdy rozetlą na niebie,
Na ciemnawém — przylecę do ciebie —
Tylko matka mnie przeżegna w drogę,
Tylko siostrę pożegnam niebogę.

(Jonek odchodzi — Stach idzie ku matce.)

STACH.

Wy już wstali?

MATKA.

Wyszłam pokryjomu,
On śpi jeszcze, jako kawał drewna;
Wyszłam synku, bo ja byłam pewna,
Że cię znajdę niedaleko domu.
Spałeś tutaj?

STACH.

Trochę z rana spałem
Wczoraj wieczór sam w lesie siedziałem,
Smutno było bez was, więc chęć żywa
Skusiła mnie podejść na podwórko,
Was zobaczyć; przy świetle łuczywa
Zobaczyłem ciebie z twoją córką:
W kącie izby bladeście siedziały,
I za ręce drżące się trzymały,
Patrząc w niego trwożne jako sługi.
A on siedział po za stołem spity
Drzemiąc, w gęste dymy fajki skryty.
To mi sen odjęło na czas długi.
Ale i wy spali coś czas mały?
Z bezsnu, z płaczu oczy wam spłowiały,
Z każdą nocą zmarszczek wam przybywa,
Twarz wam zżółkła. Matko nieszczęśliwa!
Niepoznałby cię mój ojciec miły,
Gdyby z chłodnéj podniósł się mogiły.

MATKA.

Nie mów o nim, synu, bo ostatki
Łez wygryzą oczy twojéj matki.
A ja chciałabym przy tobie woléj
Stracić pamięć tego, co mnie boli,
I pociechę na to wziąść, co jeszcze
Boleć będzie — chodź tu, siądź przy matce,
Niech napatrzę ci się, niech popieszczę
Złotko moje! to mi będzie lepiéj!

(siada i kładzie jego głowę na swoich kolanach.)

Biedny Staszku! włos twój nieczesany
Zeskorupiał, błoto w pęk go lepi,
I do czoła przyszedł pogmatwany,
I do ziemi twoja twarz podobna,
A włos na niéj, jak płachta żałobna.
Chodź do rzeki — obmyć z błota muszę,
Całusami zetrę i osuszę,
I rozczeszę włosów twych pierścienia.

(bierze go za rękę.)

STACH (gwałtownie).

Matko! matko! niechódź do strumienia!

MATKA.

Czemu?

STACH (upamiętywując się — ponuro).

Czemu?... bo gdybyś w téj wodzie
Zobaczyła włos twój wcześnie siwy,
I sieć zmarszczek na dawnéj urodzie,
I w oprawie krwawéj wzrok płaczliwy,
A u spodu toń zieloną i cichą,
I ten spokój, co tam na dnie siedzi,
Spokój, co bez krzyża i spowiedzi —
Możeby ci złą myśl szepło licho...

MATKA (załamując ręce).

Więc do tego przyszło! Chryste Panie
Chroń mi syna! Staszku! me kochanie,
Gdy myślami się takiemi kusisz,

To ty bardzo matkę twą kląć musisz,
Co ci taką dolę zgotowała?...

STACH.

O! nie! matuś, ja was kocham bardzo!
A choćbym was i niekochał wcale,
To złe słowo ku wam w mojéj skardze
Musiałoby skonać mi na wardze,
Widząc waszą boleść, wasze żale.
Tyś nam zrobić dobrze, matko, chciała;
Ja był dziki wtedy i ladaco,
A dobytek niszczał, a ja wtedy
O dom niedbał, brzydziłem się pracą;
Więc ty matko chcąc wyjść z onéj biedy,
Za Szymona poszłaś, bo się zdawał
Dobry bardzo. Ja pamiętam jeszcze,
I wy matko pewnie pamiętacie
Po pogrzebie mego ojca, w chacie
Zadymionéj jeszcze jałowcami,
Wonią trupa, ty siedziałaś z nami

Patrząc w puste po ojcu posłanie,
Założyłaś ręce na kolanie,
I płakałaś narzekając strasznie.
Wtedy Szymon przyszedł do nas właśnie
I pocieszał — nawet płakał siła,
A tyś we łzy jego uwierzyła.
Lecz Tereska — ona go spoznała,
W fałdy twego kryjąc się fartucha,
Żegnała się jak od złego ducha,
Ale, matko, tyś nam dobrze chciała.

MATKA.

Ja myślałam, że sierotom będzie
Drugim ojcem i ratunkiem w biedzie.
Nie myślałam ja w onéj godzinie,
Że ukradkiem, w polu, na uboczy
Będę mogła gadać z tobą, synie!
Płaczącemi patrząc na cię oczy.

STACH (całując jéj nogi).

Patrz-że, matko, na mnie! patrz do syta,
Bo nie prędko cię znów syn powita.

MATKA.

Co ty gadasz Stachu? Pan-Bóg z tobą!

STACH.

Tak, matulu, ja was muszę rzucić
Dziś; ja niechcę smucić was już sobą,
I znów siebie waszym bólem smucić.
Wasze troski mnie troskami znaczą,
Wasze płacze w moich piersiach płaczą —
Ja iść muszę.

MATKA.

Zgryzę z bólu wargi,
I zawiążę usta twojéj siostry,
By krzyk z piersi nie wyleciał ostry

*

W twoje uszy, byś nie słyszał skargi;
Tylko zostań, zostań synku miły.
Chcesz — uśmiechem pomaluję lice,
Do krwi wytrę z mokrych łez źrenice,
Ale zostań, zostań synku miły.
Boś potrzebny mi sokole młody
Bardziéj, niźli powietrze i wody.
Bo choć smutki, co ci skroń spaczyły,
Jako skargi patrzą, jak z mogiły
Mąż nieboszczyk — to ja przecież wolę
Patrzeć w ciebie, bo tam na tém czole
Obok przekleństw dużo jest litości
Dla mnie biednéj, i dużo miłości,
I wiem wtedy, żem nie sama w świecie.

STACH.

Toż Tereskę macie matko przecie.

MATKA.

Was oboje trza mi dla pociechy;

Ale ciebie przedewszystkiem synu.
Ona ciemna, ona nieodgadnie,
Gdy ze skargą wzrok mój na nią padnie,
By pociechy odpowiedzieć wzrokiem,
Łez nie widzi moich, aż potokiem
Tych łez ciepłych całą ją obleję,
Zostań synku, bo ja oszaleję.

STACH (ponuro).

Dola nasza się nieprzeinaczy,
Ja iść muszę i nie bez powodu —

MATKA.

Zostań synku miły, bo z rozpaczy
Ja tu umrę pewnie.

STACH (cicho).

A ja z głodu.

(Matka przerażona patrzy na niego długo osłupiałym wzrokiem — potém zakrywa twarz rękami.)

STACH.

Matuś moja! oczy twe nie zgadły,
Czemu wargi syna tak pobladły,
I zzieleniał, zciemniał tak na ciele.
Czemu z śniadéj twarzy stérczą kości,
Nie z trosk samych tylko, choć ich wiele,
Z głodu matko — twój syn strasznie pości.
Pięć dni całych nic nie jadłem prawie,
Więc gdy bez sił padnę gdzie na trawie,
To zieloną trawę z głodu zżuję,
Bo tu pusto, strasznie pusto czuję.
A ja na chléb teraz nie zarobię,
Ręce z smutku lecą w dół bezwładnie —
Jabym jeno rad wciąż dumał sobie,
Dumający szedł póki nie padnę —
Het, daleko.

MATKA (po chwili).

Idź, idź, teraz ja cię
Sama proszę, a choć krzyknę na cię:

„Wróć" — to w uszy nakładź sobie ziemi,
Byś nie słyszał; zawiąż z całéj siły
Oczy, by cię łzy me nie wzruszyły,
Byś nie został; bo łzami samemi
Nie nakarmię ciebie, dziecko moje.
Gdyby zaschłych moich piersi dwoje
Mogły pokarm dać ci jaki jeszcze —
Ścisłabym je w rąk rozpacznych kleszcze,
I mówiła: masz, a zostań z nami!
Com za matka była zaślepiona,
Niewidząca, że syn z głodu kona.

(płacze.)

Idź, idź synu! żywot mój niedługi,
Zostaw mnie już starą bez pociechy.

(odwraca się — cicho.)

Teraz w duszy mojéj pogrzeb drugi.
Druga kara straszna za me grzéchy.

STACH (obima nogi).

Tak-to matko żegnasz twego syna?

MATKA (całuje go w głowę łkając i wdziewa mu szkaplerz na szyję).

Niech Maryi Panienki przyczyna
Lepszą dolę dla ciebie wyjedna,
Niż ci dała twoja matka biedna.

STACH (całując jéj nogi).

Jeszcze jedno, mateńko kochana!
Na mogile ojca byłem z rana,
Z zielsk i trawy nie widno mogiły,
I na ziemię upadł krzyż przegniły.
Wynieś ty mi matko pokryjomu
Wyostrzony ojca topór z domu:
Pójdę w ciemne lasy i krzyż zrobię,
I na ojca go postawię grobie,
Bym wróciwszy wiedział, gdzie on leży,
Gdzie z paciorkiem klęknąć mi należy.
A wieczorem u cmentarnéj bramy
Mnie czekajcie — tam się pożegnamy.

(Matka w milczeniu bolesném odchodzi — wtém w chacie słychać hałas i krzyk przeciągły.)

TERESKA (w chacie).

Ratuj! ratuj!

STACH (gwałtownie).

Matko! to Tereski
Krzyk! Oh! matko! on ją tam zabije.

(Leci w stronę chaty.)

MATKA (chwytając go za suknię).

Stachu, niechodź tam!

(Stach się wyrywa i leci do chaty.)

MATKA (upadając).

Ojcze niebieski
Chroń mi syna!

(zrywa się i leci za nim.)

TERESKA

(ślepa, z rozpuszczonemi włosami wybiega z chaty i rozkrzyżowanemi rękami wstrzymuje matkę).

Ja nie puszczę ciebie!

MATKA (mocując się).

Puść Tereska, puść! ja nie przeżyję,
On mi syna mojego zabije.

TERESKA (poważnie).

Nie zabije, matko, bo Bóg w niebie!

I w obręcz białych rączek schwyciła
Mateńkę swoją, „niechodź“ prosiła,
A twarz jéj, blada po oczów stracie,
I w rozpuszczonych włosów żałobie
Drżała z wzruszenia. I stały obie
Wsłuchane, trwożne, a w ciemnéj chacie
Słychać jak tłuką sobą o ściany
Góral rozpaczny, ojczym pijany.

I któż zwycięży? — o! rozpacz sama
To jeszcze nie jest jasnych dni brama.

Na kim przekleństwo starych dni leży,
Kto krwią nie obmył grzéchów odzieży,
Ten się napróżno zrywa do nieba
Skrzydłem złamaném, — bo czasu trzeba,
Aby się grzesznik zmienił w Anioła,
I miał królewską chałę u czoła.

I góral runął krwią zlany cały,
A dwie kukułki z bólu kukały.

II.

(Noc — słychać nadciągającą burzę — Tereska wyprowadza z chaty poranionego Stacha.)

TERESKA.

Cicho... cicho... stań! bo mi się zdaje,
Że usłyszał stary nas i wstaje...
Nie — po łóżku rzuca się i we śnie
Coś bełkocze — Idź Stachu zawcześnie,
Nim się zbudzi — nim się dzień narodzi.

STACH.

Oj Teresko, niech ci Bóg nagrodzi,
Żeś dobyła mnie z onego locha
Spleśniałego, — może późniéj trocha
Nie czas by już było; bo z rozpaczy,
Wiesz Teresko, ja was spalić chciałem,
Was i chatę i z tą chatą siebie,
Byle tylko i on w tym pogrzebie
Zwęglał z nami na popiołu trumnie.
Bo myślałem: on tu jutro ku mnie
Rankiem przyjdzie i urągać będzie,
Potém przez wieś jako psa powiedzie
Związanego i do sędzi odda,
Więc krzesiwo brałem, ale szkoda
Było ciebie, matki méj zgrzybiałéj,
I w dół ręce moje opadały.

TERESKA.

I ty Staszku nie pomyślał sobie,
Że są tacy, co myślą o tobie?

Zaraz wieczór ten udałam mocny
(To nie trudno u mnie, bo mrok nocny
We śnie trzyma mi wciąż oczy strasznie)
I myślałam jak ciebie ratować,
I czekałam póki on nie zaśnie.
A i matka podobno nie spała,
Bom słyszała jak cicho szlochała;
Ale krzyknął na nią i zmilknęła,
I udając sen mocno zasnęła.
Cicho!... szelest słyszę znowu w chacie,
Idź już — idź już — bądź zdrów miły bracie.

STACH (całując ją).

Niech was Pan-Bóg w swéj opiece chowa,
I Najświętsza Panna! — bądź mi zdrowa.
(odchodzi.)

TERESKA (stoi nieruchoma, wsłuchana w stęp jego, nagle woła stłumionym głosem).

Staszku! Staszku!

STACH (wracając).

Co chcesz serce moje?

TERESKA (drżąc).

Ja do chaty wrócić się już boję,
Zabiłby mnie, ja tu nie zostanę.

STACH (smutno).

I cóż zrobisz?

TERESKA.

Zabierz mnie ty z sobą.

STACH.

W góry?

TERESKA.

O! nie! góry potargane
Przepaściami, w których pełno strachu
Dla mnie ślepéj; ludzie tam weseli,
A nam smutek łzami lica myje,

A nam skarga strasznie usta bieli,
I westchnienie mamy na oddechu —
Toby dziwno było nam wśród śmiechu.
Chodźmy lepiéj w równie miły bracie,
W takie miejsca kędy mogił wiele,
Smutku wiele, gdzie w żałobnéj szacie
Ludzie płaczą, modlą się w kościele,
To nam będzie bracie w takiéj ziemi
Jakby w domu, jak między krewnemi.

STACH (smutno).

Inne życie dumałem ja sobie;
Ale teraz, kiedym ojcem tobie,
Matką, bratem —

TERESKA.

i oczami memi —

STACH.

To bez płaczu pójdę z mojéj ziemi,
I pracować będę całą siłą,

By osłodzić tylko twoją dolę,
Byle tobie ze mną dobrze było.

TERESKA.

Nie! pracować ja ci nie pozwolę,
Bobyś w pracy ztwardniał i twą ciemną
Już nie kochał tak siostrzyczkę może,
A ja chciałabym, byś ty wciąż ze mną
Był i ze mną gadał w każdéj porze,
Bym twą rękę czuła wciąż w mém ręku —
Więc pracować niedam ci Stasieńku.
Lecz ty umiesz grać na skrzypkach pięknie,
Płaczesz na nich, zda się serce pęknie —
Rozśmiejesz się — to się człeku zdaje,
Że się z człekiem śmieją pola, gaje —
Więc przy drogach, lub przy wiejskiéj chacie
Siadać będziem — ty grać będziesz bracie,
A ja ludziom opowiem twe granie,
I nie umrzem już z głodu, kochanie!
A choćby nam było źle w włóczędze,

A choć ujrzysz, że z Tereski twarzy
Łzy pociekną, że ci się poskarży —
To jéj zagraj wtedy, że powróci
Znów do chaty, do gór, zagraj rzewną
Wtedy pieśń mi jaką modlitewną,
Jak organy naszego kościoła,
A Teraska będzie znów wesoła.
Chodźmy bracie!

STACH (do siebie).

Zapisano w niebie:
Dla mnie życie o żebranym chlebie!
(słychać grzmoty.)
Chodźmy siostro, by, nim przyjdzie burza,
Moglim jeszcze dostać się do wzgórza,
Do téj wioski.

TERESKA.

Wielka będzie burza,
Strasznie łyskać się musi, ja czuję,
Bo aż mnie blask w ślepe oczy kłuje.

STACH.

Straszne chmury, jakby drugie góry
Idą ku nam, biją piorunami
Ognistemi w każdą prawie skałę,
Tatry w ogniu stoją i drżą całe.

TERESKA.

Otul mnie ty Staszku przed wiatrami,
Drżę od zimna, jakby listek kwiatka.

STACH (otula ją).

Daj mi rękę twą i chodź!

(idą).

TERESKA (zatrzymuje się nagle).

A matka?

STACH (ponuro).

Prawda — matka!

(zagląda w okno.)

Śpi.

TERESKA (drżącym głosem).

Widzisz ją?

STACH.

W świetle
Błyskawicy miga jéj twarz blada,
Chudą rękę po pod głową trzyma,
I skulona śpi obok ojczyma.

TERESKA.

Ona jutro wczesnym rankiem wstanie,
I na puste me spojrzy posłanie,
Wyjdzie w pole, ciebie nie zobaczy,
I załamie ręce od rozpaczy,
Przeklnie dolę, ciężką, nad jéj siły,
Przeklnie dzieci, co ją opuściły.
Staszku! ja jéj odejść tak nie mogę.

STACH.

To ją zbudźmy i zabierzmy w drogę.

TERESKA.

Z sobą? — o nie! Staszku! stara ona,
I boleścią ku ziemi schylona,
Więc jéj trudno włóczyć się niebodze —
Ona-by nam zmarła gdzie na drodze.

STACH.

Może ojczym nas niewidząc w chatce,
Pofolguje troche staréj matce,
I obchodzić z nią się będzie lepiéj.
Albo wiesz co? — z toporem lub młotem
Pójdę — łeb mu na dwoje rozwalę,
I wszystkim nam będzie dobrze potem.

TERESKA (z trwogą).

Jak rozbójnik — o nie! niechcę wcale!
(po namyśle.)
Chodźmy, chodźmy bracie! tam na dole,
Tam po świętych miejscach pójdziem
wszędzie,

To wymodlim może lepszą dolę
Matce — sobie —

(klęka.)

Siedmioma mieczami
Rozraniona, zmiłuje się nad nami!

*
* *

Poszli bez chaty do obcéj ziemi,
I kij tułaczy wzięli do ręki,
A w smutne dusze wzięli piosenki,
Jak chleb żywota; — lecz poszła z niemi
Myśl, że boleści jak szatę zrzucą,
Że znowu w chatę kiedyś powrócą
Do matki swojéj, a trup ojczyma
Zczerniały w progu ich nie zatrzyma.
A Jonek czekał w nockę ponurą
Na Stacha w lesie — tam pod figurą.

Oj dużo w grobach ludzi naginie,
Dużo burz takich jak ta przepłynie

Nad twoją głową Jonku, sokole!
Zanim znów Staszka zobaczysz w siole.

Czekał i słuchał — niema Stasieńka —
Poleciał w góry, a burza grzmiała,
A na obrazie Boża Mateńka
Przy błyskawicy świetle płakała.

Matko bolesna! módl się za niemi!
Gdy ich zwątpienie nagnie ku ziemi,
Jako wiatr drzewa dészczem płaczące,
Lub gdy ich dusze będą milczące,
Jak sklepionego grobu kamienie —
Ten straszny pokój i to milczenie
Wielkiéj boleści — o Maryo z Świętemi
Przyjm za modlitwę, za pacierz duży —
O Maryo Matko! módl się za niemi.

Gdy się rozpaczą dusza ich zchmurzy,
Gdy rozigranych boleści morze

W klatkę ich piersi bić będzie — Boże!
Gdy po bałwanach dusza złamana
Rozdarta — z bolu dziko zaskacze,
I strasznym krzykiem w niebo zapłacze,
I przeklnie siebie i niebios Pana,
Co ich do cierpień stworzył na ziemi —
Bluźnierstwo, co pierś zbolałą zrywa,
Przyjm za pieśń, co ci modlitwy śpiewa —
O Maryo Matko! módl się za niemi.

I z chmur im wypłyń Najświętsza Panno
Zorzą wstającą — gwiazdą zaranną,
I mnie daj Maryo, bym na mą lutnię
Nie same tylko łzy wiązał smutnie —
Daj, bym wygnańcom śpiewał pieśń chwały,
Lub każ mi lutnię strzaskać w kawały.

III.

Ziemia szeroka i kraj bogaty,
I wszystkim dana, — a czemuż Panie
Tylu bez ziemi — tylu bez chaty?
Czemużeś Staszka pchnął na wygnanie?
Czy żeby w pieśni zbawienie nosił?
Czy żeby obcych o pomoc prosił?
Czy za pokutną szatę mu Panie
Dałeś żebraczy kij i wygnanie?

Po smutnych polach piaszczyste drogi
Płyną daleko — przy drogach głogi

Około krzyżów siedzą jak dziady,
I wron posępne kraczą gromady.
Na smutnych polach, na starym grobie
Brat z ślepą siostrą siedzieli sobie —
On blady, dziki, oczmi czarnemi
Patrzał ponuro po obcéj ziemi,
Po ołowianych patrzał niebiosach,
Dziwnie bolesny i dziwnie butny,
I stroił skrzypki do nuty smutnéj —
A wiatr mu latał po ciemnych włosach,
I po łachmanach i leciał daléj
Śmiejąc się świstem z nędzy górali.

A na kolanach Stacha przegięta
Spała snem cichym siostrzyczka miła,
O! pewnie jéj się matka przyśniła,
Bo po anielsku tak uśmiechnięta,
Rozpromieniona rusza wargami,
I kogoś tulić chce rączętami.

I jasna była z tego uśmiechu,
Co jéj po twarzy stąpał po cichu.

TERESKA (wpół śnie).

Matuś! matuś!

STACH.

Ej! nie wołaj miła,
Choćbyś piersi wołaniem rozbiła,
Nie usłyszy matka.

TERESKA (budząc się).

Jakto bracie? —
Tośmy jeszcze nie we własnéj chacie?

STACH.

Co się tobie roi, siostro w głowie?
Niepamiętasz jako przy tym rowie
Kladliśmy się wczoraj spać strudzeni,
Głodni?

TERESKA (opamiętywując się).

Więc mi się to śniło?
Śliczny sen, braciszku; nad mogiłą
Starą ojca siedzielim strapieni,
Płacząc bardzo — wtém z nieba, z wysoka
Matka Boska po schodach z obłoka
Zeszła jasna i w płaszczu z promieni
Ku nam smutnym, cośmy kornie stali,
Od łez i boleści jak śnieg biali.
Przenajświętsza wzięła nas za ręce
I mówiła: chodźcie, już czas! męce
Waszéj koniec! — Szła płynąc przed nami,
A my koniec całując jéj szaty
Szli na klęczkach za nią z modlitwami
Do gór naszych, do matki, do chaty —
I lud z całéj patrzał na nas wioski,
Na twarz padał u nóg Matki Boskiéj,
„Cud, cud“ wołał.

STACH.

Hehej! mocny Boże,
Że się ziścić taki cud nie może,
Jak wiatr w polu przeleci po duszy
I nową ją boleścią zapruszy.

TERESKA.

O niemów tak! bo sny z nieba płyną!
Wróżby Boże z wiatrem nie przeminą,
Stać się muszą — o wierz mi Stasieńku!

STACH.

Wierzyć muszę; bez téj odrobiny
Wiary może dawnobym na pieńku
Wisiał jakim, lub w wodzie głębokiéj
Leżał. Ale z każdym dniem ta wiara
Gaśnie — w góry wracamy co zima —
Zawsze jedno słyszym: matki niema,
A on w chacie. Biedna matka stara!
Szuka dzieci, co za nią po świecie

Z płaczem chodzą — po obcych się téra —
Może teraz z głodu gdzie umiera....
Ej! przeklęta dola, co nas gniecie,
Bodaj...

TERESKA.

Cicho! ktoś idzie drożyną!

(słychać śpiewanie.)

Gore dwór dziedzica, niby świeczka gorze,
Bośmy byli z kosą *na pańskiem* we dworze,
Pościnalim główki, oj dana, oj dana!
Teraz nas nie zbudzą pańskie baty z rana.

TERESKA (do Stacha).

Śpiewać?

STACH.

Śpiewaj, śpiewaj siostro!

TERESKA.

Komu?

STACH.

Lachom, co swych panów mordowały,
I dla zemsty zbójcami zostały.

Dla tych ludzi nieludzkich, o siostro,
Pieśń zaśpiewaj, pieśń gryżącą, ostrą —
Może panów krew zaboli smutnie —
Może w piersi się uderzą pokutnie.

TERESKA.

Och! drżę cała.

(Nadchodzą wieśniacy — góral grać zaczyna, wieśniacy otaczają ich.)

TERESKA (śpiewa).

Lachy! Lachy! a gdzie wasze pany?
Gdzie ich dwory stare, co na roli,
Wśród szumiących stali tu topoli?
Przyleciały na wiosnę bociany,
Kołem płyną na znajome dachy
I zastały gniazda popalone,
I zastały dwory rozwalone —
Czemu? czemu? powiedzcie mi Lachy!

Dymy pożarów płyną wśród drzew,
Na dłoniach waszych czuć ludzką krew,
Nad mogiłami bez krzyżów tam
Pomordowanych dziateczek głowy,
I starców wianek w krwi purpurowéj
Płynie i smutny nuci śpiew —
O Lachy! Lachy! biada wam!

Bo dzieciątek płacz usłyszał Bóg,
Bo wyciągli starce krwawe dłonie
Do Jezusa na krzyżowym tronie.

Mrzeć będziecie bez chaty, wśród dróg,
Czarni z nędzy, bez rodzin, wśród skarg;
A gdy modlić będziecie się chcieli —
To wam piana, co usta zabieli,
Zamiast modlitw z sinych wyjdzie warg,
Że się własne dzieci zlękną was.
O! módlcie się, Lachy, póki czas!

STARY WIEŚNIAK (zatyka sobie uszy).

Bodaj ciebie za pieśń czarci wzięli.

(ucieka.)

MŁODY WIEŚNIAK.

Skrzypicielu, zagrajno weseléj.

STACH.

Wesołego? hehej bracie miły
Nie wywołuj ty śmiechu z mogiły,
Bo się zlękniesz.

(stroi skrzypce.)

TERESKA (chwytając go za rękę).

Stój! na rany Boże!
Ja zaśpiewam im piosenkę wesołą,
Co się dla nich zbawieniem stać może.

(śpiewa.)

Już bieleje w polach dzionek —
W karczmie jeszcze tańczy Jonek,

I za swoją goni Hanią,
I wstążeczki gonią za nią,
Hejże skrzypku! hejże ha!
Zagrajże mi od ucha
Jeszcze z raz!

Na koniku wczesném ranem
Na wojenkę świsnę z panem —
Nie lamentuj mi dziewczyno,
Nie płacz matko mi jedyno!
Hejże skrzypku! hejże ha!
Zagrajno mi od ucha
Jeszcze z raz.

Nas tam dużo może zginie;
Lecz wam lepsza dola spłynie
Ze krwi naszéj — hejże ha!
Grajno skrzypku od ucha!
Niechże jeszcze z raz poskaczę,
Choć matula z Hanką płacze,

Choć ich może nie zobaczę .
Więcéj już — hejże ha!
Zagrajcież mi od ucha
Jeszcze z raz!

STACH.

Próżno śpiewasz! pieśni jak o skałę,
Obiły się o dusze zuchwałe,
Ani jeden łzą się nie zasmucił,
Ani grosza na pieśń nam nie rzucił.
Stoją, patrzą i głowami chwieją,
I z pieśni się naszych i z nas śmieją.
Próżno, siostro, człek im gra i gada.
Źli to ludzie. —

TERESKA.

Niemów tak Stasieńku,
Każde słowo podobne ziarenku,
Wpadnie w piersi i tam nie przepada.
Chodźmy daléj!

I wśród szumiących lip poszli chłodu
Pod modrzewiowy jeden dwór biały,
Gdzie mieszkał magnat, duchem zgrzybiały.
Od sybirskiego śniegu i lodu
Żelazny hart się w starcu załamał,
I zwątpił w walkę, we krwi ofiarę,
I cudu czekał na lata stare.

Wśród zwątpień wiarę przed sobą kłamał,
Królewski spokój kłamał na twarzy,
Spokój, co ludziom się nie poskarży —
I tak w bezczynie na ojców trumnie
Leżał, ich chwałą pysząiąc się dumnie,
I czekał zwycięztw bez krwi, zasługi,
Bez szabli, stary Irydion drugi.

Idźcie ku niemu! pieśń jak gromnicę
Niosąc i wiedźcie duszę starego
W sklepione groby naddziadów jego.
Pokażcie jemu to męzkie lice

Przeszłości, niech tam hartu nabierze,
Niech ujrzy, że nie same pacierze,
Nie sama duma, lecz i szablice
Były ozdobą starych magnatów,
A jeźli starzec w takim widoku
Nie zadrży, z młodym zapałem w oku,
Jeźli mars męzki nie zfałdzi czoła,
I o kord stary, gdy nie zawoła —
To się odwróćcie, mówiąc ludowi
„Umarł“ — a wstaną znów ludzie nowi.

IV.

(Ogród — pod lipami około starca w aksamitnym żupanie stoi o krzesło wsparta jego córka w żałobie — w dali kilka osób.)

STARZEC (składając książkę do nabożeństwa, daje ją córce i mówi:)

Zabierz gości w inną część ogrodu,
Ja spać będę trochę tu wśród chłodu.

(Wchodzi dwoje dzieci w żałobie ciągnąc za rękę górala i jego siostrę.)

WŁADZIO (prowadząc górala).

Chodźcie! chodźcie! siądźcie tu przy bramie
I zagrajcie co dziadzi i mamie.

HYSIA (ciągnąc Tereskę).

Patrzaj mamo jaka ona blada,
I niewidzi, a tak ślicznie gada,
Jak kanarek nasz.

(sadza Tereskę na trawie.)

WŁADZIO.

A umiecie wy
Coś o wojnie zagrać? takie śpiewy
Bardzo lubię.

STACH.

To dobrze, paniczu!

HYSIA.

A może wy głodni? jeść wam trzeba?
Władziu! idź im przynieś z domu chleba.

(Władzio odchodzi i za chwilę wraca z chlebem.)

STACH.

Niechże tobie, maleńka dziecino,
Mlekiem, miodem późne dni opłyną,
Za twe serce dobre — niech te bóle,
Co u twojéj matki śpią na czole
Jako ciernie — ciebie nie okrwawią.

WŁADZIO (do matki).

Co oni nam mówią?

MATKA.

Błogosławią.

BARON (zbliżając się ze szkiełkiem w oku).

A na honor, że grupa nielada —

Nowy Oedip w spodnicy i blada
Antygona — góral — byłby cudny,
Gdyby tylko nie był taki brudny,
I jak kwiczoł chudy — cha! cha! cha!

TERESKA (do Stacha).

Bracie, słyszę śmiech jakiegoś Lacha,
Kto się tu z nas śmieje? — o czarniejszą
Musi mieć ten człowiek pewnie duszę
Niźli ta noc, co mnie wciąż otacza,
Gdy się umie śmiać z nędzy tułacza.
Ja niemogę śpiewać przed tym śmiechem,
I śpiewanie takim ludziom grzechem.

(Góral gra dumkę rzewną.)

HYSIA.

Co ten góral gra teraz, o mamo,
Że mi płakać chce się znów tak samo,
Jako wtedy, gdyśmy z tobą razem
Do tateńki skutego żelazem

Do ciemnego lochu szli, gdzie siedział.
Zkąd ten góral o tém się dowiedział.

(Matka kryjąc łzy odchodzi.)

STARZEC (wzruszony).

Znam, znam piosnkę, boleści piosnkę —
Zdaje mi się, że znów cierpię mękę —
Żem znów w wicher sybirski owiany
W śniegu stoję i liczę kurchany
Coraz nowe, bez krzyżów, co ludnią
Te pustynie — jęki mogił dudnią
Po méj duszy.

(zakrywa twarz rękami i zamyśla się.)

¡WŁADZIO (do Stacha).

Przestań, przestań smucić nas człowiecze,
Patrzaj! dziadzio siwy pełen żalu,
I łza duża mu przez palce ciecze —
Coś innego grajcie nam góralu.

(Góral gra marsz bojowy.)

STARZEC (rozdrażniony — do siostrzeńca).

Co on gra znów? każ mu niech przestanie,
Bo bluźnierstwem dzisiaj takie granie —
Dosyć krwi już, dosyć, — teraz trzeba
Na cud czekać, co nam spadnie z nieba.

SIOSTRZENIEC (zbliżając się do górala).

Zkąd ty umiesz takie dziwne granie?

STACH (skłaniając mu się do nóg).

Ze mnie, ze mnie, paniczu łaskawy,
Bo ja niemam chaty — to w ból krwawy
Każda piosnka mi się zbroczy panie,
I dla tego bolesne me granie.

STARZEC.

Módl się. Bóg wysłucha módł dziecięcy.

TERESKA.

Słyszysz bracie! co mówi: cierpienie
Pacierz skończy — w pacierzu zbawienie.
Módl się!

(klęka i składa ręce.)

SIOSTRZENIEC (odchodząc na bok — z smutną ironią).

Módl się — i nic — nic więcéj!

V.

Krakowie! śliczna kołysko moja!
O Romo moja! królewski grobie!
Jakże radosna znów dusza moja,
Gdy z tułaczami idę ku tobie.
O! salve! salve! w świątyń koronie,
W smutku purpurze — sierocy tronie.

Znów będę klęcząc patrzał ze wzgórza
Na Wisłę jasną, co u podnoża
Wawelu niby córka narodu,

Z rozpuszczonemi rzek warkoczami
Leży, ubrana w blaski zachodu,
I tuli Wawel i coś wargami
Szepta mokremi na pocieszenie.

I znowu czoło zwite w cierpienie,
W palące troski, w gryżące bóle,
Do starych, zwilgłych murów przytulę —
Chłodząc się pieśnią starą, co z wieka,
Jak strumień, przez te mury przecieka.

Chodźcie tułacze! — pójdziemy razem,
Przed każdym świętym klękniem obrazem;
O! jest gdzie modlić się w naszém mieście!
Z tłumem modlącym przed Maryi kościołem.
Przy dzwonów biciu uderzym czołem,
Aż jęk rozedrze chmury nareszcie,
Litością świętych skruszą się twarze,
I Bóg nam niebo szczęścia pokaże.
Salve Cracovia!

Co to jest? Chryste
Gdzie miasto moje? — morze ogniste
Szaleje w miejscu gdzie miasto było;
Bałwany czarne dymów się wiją,
Piętrzą się z ogni i w niebo biją, —
A wieże toną — a pod mogiłą
Ogni, we dzwony na trwogę walą,
I ludzie dziką wrzawą się żalą.

Straszne, bolesne były to chwile!
Lud po kościołach tarzał się w pyle,
I wołał z jękiem, trwogą przejęty:
O nieśmiertelny! o mocny! święty!
Od ognia racz nas zachować Panie!
O Matko uproś, odwróć karanie! —
A ogień ludzi z świątyń wyrzucał,
Szydząc i w twarze świętych się rzucał.
I od téj świątyń płonących świecy
Straszny blask padał po okolicy,
I lud bez dachu, skłócony z światem,

*

Jako Izrael nad Eufratem
Na polach leżał jak na całunie,
Blady i niemy, przy krwawéj łunie.

Pod tą ognistą twojego gniewu
Świątynią, Panie, klękam bolesny,
I popiół gruzów miasta mojego
Sypią na głowę jako szron wczesny,
Na usta, jako żałobę, kładną,
Po mojém szczęściu i ślub ci czynią,
Że nosić będą ją w wszéj godzinie,
I niechcą widzieć w duszy wesela,
Póki to miasto nie wstanie ładne,
Potężne; póki Zygmunt z Wawela
W pieśń Wielkanocną się nie rozjęczy.
A jeźli kiedy w płacze łabędzie
Rozpuszczę lutnię — nie o mnie będzie
Płacz, ale z bólu, co naród dręczy.
Jeźli do modlitw ręce rozłożę —
Nie za mnie modlić się będę. Boże!

Daj, niech przed jedną tą myślą jasną
Marzeń mych małych gwiazdy pogasną,
I małe bóle znikną. Dość długo
Gołębich gruchań byłem ja sługą.
Dziś — dziś spokojny jak nagie skały.
Burze'm miał w życiu, ale przewiały,
I łzy niemęzkie już skamieniały
Od zimna jednéj kobiety białéj,
Co na me prośby, bóle najkrwawsze,
Zimną — kamienną twarz miała zawsze.
Za strasznych nocy bezsennych tyle,
Za przemarnione młodości chwile
Przekląć ją nawet usta me blade
Nie śmią — i pamięć o niéj dziś kładę
Na sercu, jako kwiaty uschnięte
Już — na pamiątkę, na lata stare.
O Boże! przyjmij serca ofiarę,
Ochrzcij mnie bólem na rzeczy święte;
Bo chcę jak posąg być Laokona,
Co kona, lecz nie za siebie kona.

(Okolica górzysta pod Krakowem — na wzgórzu kościół w wieńcu starych lip — w dali widny Kraków po spaleniu.)

TERESKA (wspierając się na Stachu).

Iść nie mogę dalej, bracie drogi;
Kamieniami poranione nogi
Nieść już niechcą — pot mi cieknie z czoła,
I osłabłam cała... siądź, bo padnę.

STACH.

Jeszcze trochę — tam koło kościołka
Na pagórku widzę lipy ładne,
Stare, z chłodnym cieniem — tam spoczniemy.
Uchwyć się mnie — niedługo dojdziemy.
(idę naprzód.)

TERESKA (siadając pod murem kościoła).

Jak tu dobrze, lipy pachną w koło,
Chłodny wiater wieje mi na czoło.

(po chwili.)

A ty czemu Stasieńku nie siadasz?
Siądź tu przy mnie — cóż-to? ty nie gadasz
Do mnie? — ty drżysz? — co ci, mój sokole?

STACH (zapatrzony).

Straszne, straszne rzeczy widzę w dole!
Miasto jakieś jakby od pioruna
Roztrzaskane — dym jak z kadzielnicy
Płynie czarny — i po okolicy
Smutek głuchy leży; więc ta łuna,
Co nam niebo w każdą noc krwawiła,
Z tego miasta tak okropnie biła.

TERESKA (klękając).

Od powietrza, ognia, Boże z nieba!...

STACH (smutno).

Nie módl się już, siostro, — niepotrzeba!
Ogień się już nie chwyci popiołów —

Wszystko w gruzach — czerepy kościołów
Rozwalone, bez dzwonów tam leżą,
I niemodlą się — już i niewierzą.
Tylko zamek jakiś w drzew koronie
Stoi ogniem nietknięty w téj stronie.

TERESKA (żywo).

A mogilnych po za miastem znaków
Niema?

STACH.

Są, są — dwie jakieś mogiły
Z dwóch stron miasto ono otoczyły —
Choć zielone, smutek znać.

TERESKA.

To Kraków!

(słychać w kościele organy i śpiew.)

STACH (ponuro).

Kraków, Kraków — miasto takie święte,

Takie stare, Bogu zasłużone, —
A dziś leży ono poniżone,
I swą starą sławę w gruzach grzebie,
Chyba niema Pana-Boga w niebie.

TERESKA (zatykając mu usta).

Niebluźń bracie!

(słychać śpiew z kościoła.)

„Vere dignum et justum est,
„Aequm et salutare —
„Nos tibi semper et ubique
„Gratias agere
„Domine sancte pater —
„Omnipotens aeterne Deus!“

TERESKA.

Módl się ze mną razem!

STACH (ponuro).

Toż po tylum świętych miejscach chodził,
Gniótł kamienie przed każdym obrazem,
I postami ciałom moje głodził,
A nie zesłał Bóg śmierć na ojczyma,
I nieszczęściom naszym końca niema,
I nie będzie — taką dziś mam wiarę,
Kiedy patrzę na to miasto stare.

TERESKA.

Z gruzów Kraków wstanie znów bogaty,
I my bracie powrócim do chaty.

STACH (z gorzkim śmiechem).

Kiedy?

(po chwili.)

O! Teresko! jakby ja rad chętnie
Wrócić w chatę i pracować skrzętnie,
Orać ziemię, sierpem żąć na łanie —
Mnie już nudzi włóczęga i granie.

TERESKA.

Granie, bracie, dał ci Pan-Bóg z nieba,
Dar to śliczny i ludziom go trzeba.

STACH.

I ja nieraz tak dumałem sobie —
I gdym ludzi zobaczył w żałobie,
I zobaczył jak od mojéj pieśni
Pogodnieli — i gdy zbójce leśni
Kruszyli się słysząc moje granie,
I w pierś bili, — gdy słabi mocnieli,
I wierzyli, co wiary nie mieli,
Tom ja klękał i mówiłem: Panie
Boże! przyjmij me podziękowanie,
Ale nieraz kiedy ludzi niema,
Kiedy pieśnią śpią jak w lesie ptacy —
To mnie nudzi to życie bez pracy
I bez jutra — i wstyd duszę ima,
I mam w sobie dużo niepokoju,
I zazdroszczę wtedy tym, co w znoju

Na chléb robią; pająkom, co przędą
Pszczołom, kiedy na kwiatach usiędą,
I ptakowi, kiedy gniazdo sprzęga,
Bo ich życie — praca — nie włóczęga.

GÓRAL (jedzie).

Niechże będzie Chrystus pochwalony.

TERESKA.

Na wiek wieków.

GÓRAL.

Może w nasze strony
Wędrujecie — to siadajta ze mną,
Pogwarzywa przez drogę przyjemno.

STACH.

Jedźcie z Bogiem.

TERESKA.

A gdzie wy jedziecie?

GÓRAL.

Pod Dunajec czarny, jeźli wiecie.

TERESKA (wzruszona).

Stachu! z naszych stron. (głośno)
Nie znacie czasem
Marcinowéj chaty po pod lasem?

GÓRAL.

Oj! ktoby jéj nieznał, — toć Marcina
Znała każda naokół wiosczyna,
Mądry człek był i znał różne leki,
I wędrował po ziemi dalekiéj.
Umarł biedak — ojczym dzieci jego
Wygnał z domu na żebry niebogi,
Zmarły pono — a matka bez mała
Od niedawno z żalu oszalała.
Bądź-ta zdrowi i mnie czas do drogi.

(odjeżdża.)

STACH (zrywając się).

Oszalała — słyszysz — oszalała,
O mój Boże, o mój Jezu złoty —
Oszalała za dziećmi z tęsknoty.
A my tutaj po gościeńcach gramy
I nierobiąc nic cudu czekamy.

(rzuca skrzypce.)

Lepiéj niech się rozlecą w kawały,
Niżby ciągle płaczliwie śpiewały
O nieszczęściach, co się skończyć niechcą.

(bierze Tereskę za rękę.)

Chodźmy siostro! pójdziem w nasze strony,
Weźmę z sobą topór wyostrzony,
Skuteczniejszy niż pieśń i pacierze.
Raz nim jeszcze w ojczyma uderzę —
Rozpacz doda sił, — a ludzie w siole
Nie napiszą mi „zbójca“ na czole,
Choćby tylko dla tego, żem tyle
Cierpiał przez tułactwa gorzkie chwile.

TERESKA (wstając).

Bracie, patrzaj — ja dziś niemam siły
Od topora wstrzymać ręce twoje,
Boś ty cierpiał tyle, że się boję,
By nieszczęścia twe mnie nie zabiły
Wyrzutami, że memi radami
Namnożyłam ich tyle latami.
Dziś Tereska twa inaczéj wierzy:

(z powagą.)

Kiedy ludzka sprawiedliwość drzéma,
Kto zbrodniarza toporem uderzy,
To nietylko taki grzéchu niema,
Ale jest jakby Boży wysłaniec,
Co narzuca na zbrodnie kaganiec,
I naucza krwawemi znakami,
Że jest sprawiedliwość po nad nami.
Chodźmy! chodźmy!

(padając przed kościelnym progiem.)

Chrysta rodzicielko,
Daj mi wiarę w moją wiarę wielką.

(słychać w kościele śpiew.)

„Ite missa est“.

TERESKA (do Stacha).

Klęknij bracie! przed kościelnym progiem
Módl gorąco się, braciszku miły,
Bo niebieskiéj trzeba tobie siły,
I zwyciężysz, bracie, tylko z Bogiem.

I prosząc klękła wraz z nim u proga,
On klęknął przy niéj — ostrząc w wzruszeniu
Topór swój na kościelnym kamieniu,
Wielkie zanoszą modły do Boga.
I nie jak dziad już szemrał modlitwy,
Ale jak żołnierz na polu bitwy!

VI.

Kto woli życie niż pokój zgniły,
Niż w księżycową noc miękkie łoże,
Kto wierzy ze mną, że sklep mogiły
Tylko piorunny miecz przeciąć może —
Niech do końca słucha méj pieśni —
Przecierpi życie, ale nie prześni.
Ja płaczę, ale z nadzieją płaczę,
Z piorunem w dłoni.
„Gdzie są słuchacze?“
Jedni od huku pioruna zbladli,

I klną pieśniarza, co im sen mąci,
Inni w kościołach krzyżem upadli
Czekają cudu — a gdy ich trąci
W zmęczone piersi piosnka ze stali —
To krzyczą „nie czas, nie czas!“ zwątpiali,
I herbownicy, plując w sufity,
Brzydzą się mściwym mieczem Judyty,
Każdą chęć czynu chrzczą mianem zdrady.
Podli! niech gniją w bagnach jak gady!

Ale wy młodzi z orlemi pióry,
Z myślą, co pragnie, z duszą, co płonie,
Dla was pieśń moja na Tatrów tronie,
W wieńcu piorunów i w czarne chmury
Ubrana. Dusza bólem zmęczona
Niezna spokoju Spirydiona,
I znać go niechce — i walki chciwa:
Rzuca modlitwy — topór porywa.
Bóg mnie piorunem nie przeklnie za to —
O! witaj, witaj rodzinno chato!

(Chata — obłąkana matka wybiega z chaty i siada pod jaworem.)

MATKA.

Tak, tak — tu mi lepiéj z tobą Stachu,
(tuli się do jaworu.)
Tam okropnie w chacie — tam od strachu
Uschłam cała — w kącie przytulona
Patrzałam się na niego jak kona;
Strasznie kona — gad mu ciało toczy,
Pianą ośliniony — z bólu oczy
Białkiem w górę wywrócił — i trzy dni
Kona, kona i skonać nie może.
Może dzisiaj skona — trupa synku
Wyrzucimy — i wejdziesz do chaty,
Ja świąteczne z skrzyni wyjmę szaty,
Włos uczeszę — ogień na kominku
Wielki zrobię — wieczerzę bogatą
Dam i będą gody — cóż ty na to?
Ty nie gadasz nic do twéj matuli?

*

Matka z płaczem do ciebie się tuli,
A ty chłodny — może ty zły, że mnie
Zachciało się ciebie potajemnie
Tu czarami sprowadzić z oddali.
Ja niemogłam inaczéj, bo cała
Z bólu bym się rozpadnąć musiała,
A i ludzie w siole wytykali
Mnie palcami i szepcząc mówili:
„Patrzcie, ot tę dzieci porzucili
Jako sukę!“ więc z rozkazu wróżki
Wyszłam w północ na rozstajne dróżki,
Z pełnéj garści żółty piasek siałam
Po kamieniach twardych i gadałam:
„Jak ten piasek w bujną trawę wnijdzie,
Tak mój synek miły do mnie przyjdzie!“
Więc mnie nie klnij za to, bobym cała
Z bólu jako węgiel poczerniała.

(po chwili.)

Łzy czy rosa spadły mi na ręce?
Płaczesz synu? płacz — twojéj mateńce

Te łzy jako deszcz na wiosnę ziemi,
Twoja siostra nieraz łzy takiemi
Mnie zlewała — dobrze mi w téj było —
Ona teraz pod chłodną mogiłą —
Wszak umarła? prawda?

(wchodzi Stach z Tereską.)

MATKA.

Och kochana!
Śpi w mogile w chłodnéj pogrzebana
Nad mogiłą wierzba się kołysze.

TERESKA (lecąc naprzód).

Gdzie tu matka, Stachu? — matkę słyszę —
Matko! matko!

MATKA (patrzy w nich szklanemi oczyma
i mówi daléj).

Po nad wierzbą dusza jéj skrzydlata
Gołąbeczkiem białym lata — lata.

TERESKA (z trwogą).

Staszku! kto tu mówi tak boleśnie?
To nie matka — onaby już wcześnie
Od radości krzykła i leciała
Do nas we łzach i w uśmiechu cała.

STACH.

Strasznie, strasznie — matka nie poznała
Swoich dzieci — szklannemi oczyma
Patrzy na nas — za jawor się trzyma
I drży.

(idąc do niéj.)

Matko — mateńko jedyna,
Spamiętaj się — nie patrz tak na syna —
Lecz go witaj.

MATKA (do siebie).

Jacyś ludzie bieli —
Możeby mi syna porwać chcieli —
O! nie porwą. (chwyta za jawór.)

TERESKA.

To ja, matko miła!
Jeźliś pamięć twych dzieci straciła,
To me ślepe oczy — znak, co smuci,
I płacz — niech ci matko pamięć wróci.

MATKA (do siebie).

I czemuż ci ludzie — Panno święta!
Skowyczą koło mnie jak szczenięta?

STACH (zbliża się).

My cię matko musieli porzucić,
Lecz nas nie klnij, i przestań się smucić,
Dziś wracamy, by ci stare lata
Słodzić matko, by rodzinna chata
Była naszą — strasznym rozhoworem
Skończę sprawę z ojczymem — toporem —

(pokazując jéj)

Tym błyszczącym, ostrym.

MATKA (odskakując).

Ach zbójnicy!

(ucieka do chaty.)

STACH (rzuca topór i siada smutny pod jaworem).

Próżno wszystko już! w szklannéj źrenicy
Matki niema już dla nas wesela.

TERESKA.

Nie rozpaczaj — Pan-Bóg może wiela —
Matkę wróci nam i skończy biedy
Nasze długie.

STACH.

Ale kiedy? kiedy?
I znowu czekać.

TERESKA.

Któż ci każe czekać?
Pierwéj zabij go i odbierz chatkę —

Potém leczyć będziem naszą matkę —
Weź twój topór i chodź — nie czas zwlekać!
(prowadzi go ku chacie.)

STACH.

Krew zagrała mi na słowa twe,
Idę! idę! (idzie ku chacie, nagle staje.)
Nie zabójca'm a drżę,
Bo krew ludzka pierwszy raz na twarz
Pluśnie.

TERESKA.

To za matkę — i jéj łzami
Obmyj siebie i winę twą zmaż.
Łzami matki — memi modlitwami
Będziesz czysty, biały — idź! idź bracie!
Ja się modlić będę.

STACH (idzie).

Cicho! w chacie
Jakieś gwary słyszę — Szymon gada.

SZYMON (w chacie).

Lepiéj mi już dzisiaj — znacznie lepiéj —
Stara, dawaj jeść co — to mnie skrzepi —
I sił doda — no! i czegóż blada
Kuczłaś w kącie i strachem przejęta
Tak się trzęsiesz jak gęś niedorznięta.

MATKA (w chacie, śpiewa).

Wiatrem po ziemi, chmurką po niebie
Przyleć, bo umrę synku bez ciebie.

SZYMON.

Znów go wołasz? — ja wiem, tybyś chciała,
Byś na marach mnie rychło widziała,
A synalka dać na to posłanie
Miękkie moje — o niedoczekanie
Twoje — ja żyć będę bardzo długo.

MATKA (śpiewa).

Świat rozweselał i ja wesoła,
Bo mi Bóg wrócił mego sokoła.

SZYMON (zrywa się).

Wrócił? — kto ci mówił, że on wróci?
Może mówił z tobą już i może
Zmówiłaś się z nim — ostrzycie noże —
Może lada chwila on się rzuci
Na mnie — a ja zabić niemam mocy —
A śnił mi się dzisiaj właśnie w nocy —
Ja się boję.

(rzuca się po łóżku).

We śnie i na jawie —
Słuchaj stara — ja się już poprawię,
Dam co zechcesz, że ci będzie u mnie
Jako w raju — chodzić będziesz szumnie
Jak grefina — tylko mnie broń stara,
Niedaj zabić, gdy twych dzieci para
Tu powróci.

STACH (do Tereski).

Słyszysz co on gada?
Mnie go żal i ręka mi opada.

MATKA (w chacie, śpiewa).

Na te piersi, com cię wykarmiła,
Na włos siwy, na boleści siła,
Klnę cię, mścij się synu mój jedyny
Łez wylanych i krzywdy matczynéj.

SZYMON.

Milcz mi stara, bo się klnę na duszę,
Że jak kota rękami cię zaduszę,
Że się synka nie doczekasz swego.

MATKA (śpiewa).

Na te piersi...
(słychać chałas i krzyk w chacie.)
Przez Boga żywego
Ratuj! ratuj! — kto może, bo zdusi.

TERESKA (z rozpaczą).

Prędzéj, prędzéj — na pomoc matusi!
Staszku, zabij go!

I wpadł do izby — rozpaczą dziki,
I ostry topór podniósł do góry,
I tak stał chwilę, chwilę w ciszy ponuréj,
W strasznym namyśle — aż matki krzyki
Drgnęły nim całym i rzucił z ręki
Topór w ojczyma — matkę w ramiona
Krwawe otulił, mówiąc: „pomszczona!“

KONIEC.